

# Steffen Junior, Edward

---

## Pamiętniki z czasów II wojny światowej : lata 1942-1945

---

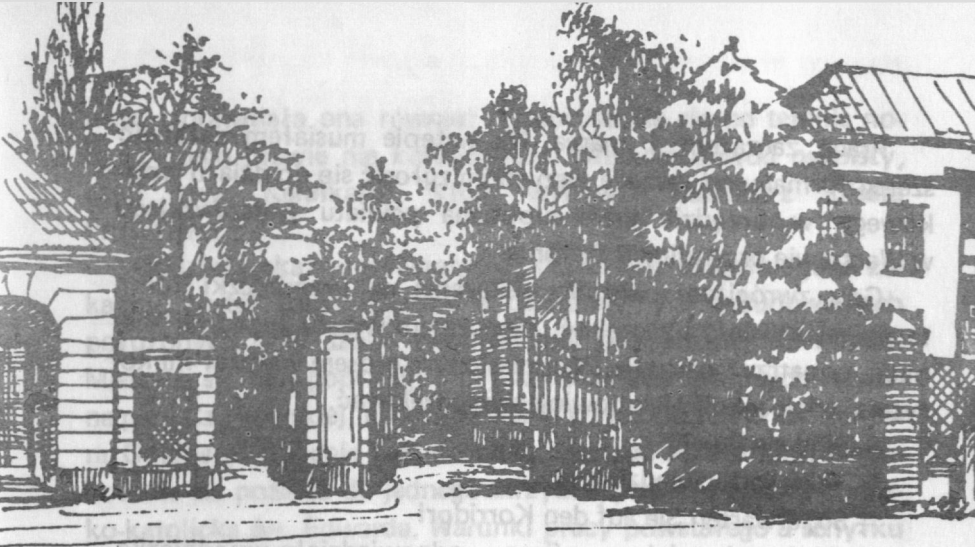
Przegląd Pruszkowski nr 1, 39-70

---

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



*Brama wjazdowa do Szpitala i budynek administracji*

*dr Edward STEFFEN*

*Junior*

## PAMIĘTNIKI Z CZASÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ

Lata 1942 – 1945

W styczniu 1942 roku otrzymałem od Władz Komisarjatu w Łucku (Der Gebietskommissar des Gebiets Luzk) zezwolenie na wyjazd z Cumania, gdzie prowadziłem Szpital Rejonowy, do Otwocka celem leczenia klimatycznego. Byłem w tym czasie rekonwalescentem po wysiękowym zapaleniu opłucnej. Odpowiedni wniosek wystawił mi lekarz wojskowy Riedel, wiedeńczyk, do którego napisałem list przez mojego zastępcę, kolegę Golsztajna.

Po powrocie do domu w Pruszkowie nie byłem jeszcze zdrowy. W lewej jamie opłucnej trzymało się sporo płynu i tworzyły się zrosty. W tym stanie objąłem prowadzenie oddziału zakaźno-wewnętrzny w Szpitalu Powiatowym w Pruszkowie.

Pracę zacząłem 1 marca. Na wstępie musiałem załatwić szereg formalności, przede wszystkim zgłosić się do działu wojskowego w urzędzie kreishauptmana powiatu warszawskiego w Warszawie przy ulicy 6 Sierpnia.

Gdy zwróciłem się do wskazanej mi urzędniczki Polki, ta poleciła usiąść i poczekać. Tymczasem wszedł urzędnik Niemiec, popatrzył na mnie i podniesionym głosem wskazał mi korytarz, gdzie jako Polak powinienem oczekiwać.

– Sind sie Pole?

– Tak – odpowiedziałem.

– So, erwarten Sie auf den Korridor!

– Ależ to jest lekarz, oficer – odpowiedziała urzędniczka, która później przez wiele lat pracowała w Wojewódzkim Wydziale Zdrowia.

– Ach tak, no to może pozostać w pokoju – zdecydował Niemiec.

Innym obowiązkiem była rejestracja w Izbie Lekarskiej, działającej pod zarządem komisarycznym. Nazywała się Distriktsgesundheitskammer Warschau, Fachgebiet Aerztenkammer. Kierownikiem lekarskim był lekarz Polak – Alkiewicz, rentgenolog. Korespondencja Izby z jej członkami Polakami prowadzona była w polskim języku. Należało wypełnić kartę rejestracyjną i deklarację aryjską.

Otrzymana później przeze mnie legitymacja upoważniała do zakupu przydziałowego mydła, zresztą bardzo podłego i dwóch litrów spirytusu etylowego raz na kwartał dla celów dezynfekcyjnych. Nie trudno zrozumieć, że część przydziału alkoholu szła na stół domowy i na prezenty. Również do wymiany na żywność. Pamiętam, jak profesor Witold Zawadowski, sławny rentgenolog, któremu przyniesiono do szpitala dodatkowy przydział alkoholu z okazji Nowego Roku 1945, zamienił pół litra spirytusu etylowego na pudełko sardynek.

Z wydziału powiatowego, w gestii którego znajdował się szpital, dostałem legitymację służbową tak zwany Personalaus-

weis. Uprawniała ona również do poruszania się po terenie nocą, z czego prawie nie korzystałem. Wreszcie dowód osobisty, czyli tzw. Kennkarte, którą wydawał burmistrz miasta Pruszkowa.

Oddział zakaźno-wewnętrzny, działający oficjalnie jako zakaźny, został zorganizowany w czasie wojny w zabudowaniach położonych przy szosie tworkowskiej prowadzącej do miasta. Mieściło się tam poprzednio prywatnie sanatorium psychiatryczne pani Czajkowskiej, nabyte w latach trzydziestych przez doktora Goldberga. Obecnie zabudowania dawnego sanatorium, zredukowane po pożarze do jednego skrzydła, przejęła parafia rzymsko-katolicka św. Edwarda. Warunki pracy powstałego u schyłku 1939 roku oddziału zakaźnego były, jak na czas wojenny, na tyle wystarczające, że mimo prowizorycznej izolacji sal dla chorych zakaźnie i wewnętrznie, nie było zakażeń wewnątrzszpitalnych.

Oddział liczący 50 łóżek, stale zajętych, pracował pod moim kierownictwem fachowym i opieką. Pomagała mi lekarka Olga Żegielewicz, a dyżury pełniła początkowo studentka po trzech latach medycyny Lucyna Fabjańska, późniejsza asystentka Kliniki Dermatologicznej w Warszawie. Kiedy to piszę, już nie żyjąca.

Latem 1942 roku zgłosił się do pracy kolega Franciszek Kubiaczyk polecony przez moich dawnych współpracowników ze Szpitala Wolskiego przy ulicy Płockiej w Warszawie. Koledze Kubiaczykowi, jak twierdzili, ziemia paliła się pod nogami, dlatego musiał niezwłocznie zmienić miejsce pracy i pobytu. Stąd wniosek, że był zaangażowany w organizacji działającej w podziemiu. Kubiaczyk był tylko o trzy lata młodszy ode mnie, ale studia ukończył w Poznaniu dopiero tuż przed wojną. Kulturalny, dbający o chorych, ujmujący w towarzystwie. Zdolny lekarz, czego szybko dał dowody.

Wśród personelu pielęgniarskiego była tylko jedna dyplomowana pielęgniarka Zofia Godlewska, która po wojnie ukończyła

studia lekarskie. Reszta pielęgniarek to były położne i osoby przyuczone. Nad personelem salowych i gospodarczych sprawowała pieczę pani Czyżewska, osoba dystyngowana, absolwentka Instytutu Maryjnego dla pańien szlachetnie urodzonych (czasy carskiej Rosji). Pani Czyżewska mieszkała w Szpitalu i na wszystko miała baczenie, dbając szczególnie o moralne prowadzenie się zakwaterowanego personelu. Wspominam mieszkającego w pokoju służbowym Jana Waltera, studenta końcowych semestrów weterynarii, pracującego w Szpitalu na etacie zaopatrzeniowca. Walter, przystojny młody człowiek, noszący na codzien zniszczone służbowe ubranie, w sytuacjach szczególnych upodabniał się elegancją i postawą do aktora na scenie. Nazywano go żartobliwie "księżę zebrał". Dobrze tańczył i wodzirejował, miał powodzenie u niewiast.

Po objęciu przeze mnie kierownictwa oddziału zakaźno-wewnętrzznego doszło szybko do zgrania się całego zespołu, co w latach okupacji było niezmiernie ważne.

Oddział podlegał dyrektorowi Szpitala Czesławowi Gawlikowskiemu, który prowadził chirurgię i położnictwo w budynku przy ulicy Pięknej nr 4. Miejscowym lekarzem w tym oddziale była lekarka Alina Leśniewska, absolwentka Uniwersyteetu imienia Stefana Batorego w Wilnie, stawiająca wówczas pierwsze kroki w karierze lekarskiej, po wojnie asystentka Kliniki Ginekologiczno-Położniczej w Łodzi, ostatnio profesor kliniki.

Szarą eminencją Szpitala była przełożona pielęgniarek Apollonia Gordon, która po zlikwidowaniu wojskowych szpitali w Łodzi, gdzie pracowała, trafiła do Pruszkowa razem z dyplomowaną pielęgniarką Igą Leśniewiczową, żoną lekarza chirurga internowanego w oflagu w Woldenbergu. Gordonowa nie tylko trzymała twardą ręką personel salowych i pielęgniarek, ale ingerowała nieomal we wszystkie komórki życia szpitalnego, również w moim oddziale. Gordonowa tolerowała tylko posłusznych sobie pracowników i gdyby nie to, że w warunkach okupacyjnych zagrożeń nie traciła zimnej krwi, nie byłaby do zniesienia.

Powróciłem do Pruszkowa z Wołynia w tym czasie, gdy podziemie było już zorganizowane, zarówno wojskowe jak i cywilne.

Przez dłuższy czas czułem się nieswojo, dostrzegając niezupełnie zrozumiałe dla mnie wydarzenia i ludzkie postawy. Intendent Szpitala był taki właśnie nie rozszyfrowany przeze mnie osobnik o nazwisku Papieski, które uważałem za przybrane. Doktor Gawlikowski był zżyty z Papieskim, nawet zaprzyjaźniony, ale w tym powiązaniu było coś, co kazało przypuszczać, że intendent wobec dyrektora działał często jakby z wyższego szczebla. Miał sporo zajęć wiążących się ze szpitalem, ale miewał często niekontrolowane wolne dni, a nawet większe przerwy, niezrozumiałe dla nie wtajemniczonych.

Wiosną 1943 roku Papieski został aresztowany przez gestapo wraz z grupą osób, które uczestniczyły w uroczystości ślubnej w kościele św. Aleksandra w Warszawie. Wydarzenie to znane jest powszechnie. Papieski zdarzył wyrzucić kartkę, którą dostarczono niezwłocznie do Szpitala do rąk dyrektora Gawlikowskiego. Dopiero w związku z aresztowaniem okazało się, że Papieski, działający pod przybranym nazwiskiem, był poważnie zaangażowany w pracach podziemia. Zginął szybko po aresztowaniu. W obawie przed rewizją trzeba było usunąć wszystko, co mogło rzucić podejrzenie na inne osoby. Zajęła się tym przełożona Gordonowa. Tymczasem dyrektor Gawlikowski opuścił Szpital, przenosząc się na inny, nie znany mi teren. Powrócił dopiero po zakończeniu działań wojennych. Już w dniu jego odejścia zjawił się inny lekarz chirurg. Był nim pułkownik Michał Dobulewicz z łódzkiego szpitala okręgowego, w tym czasie pracujący w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. Na mnie spadł obowiązek przejęcia odpowiedzialności za Szpital. Dopiero po upływie około dwóch tygodni przyjechał lekarz powiatowy Dorożyński, który oświadczył mi, że obowiązki dyrektora powierzają doktorowi Dobulewiczowi, który jako chirurg i wojskowy bardziej odpowiada stanowisku w czasach wojny i okupacji.

Opisany splot wydarzeń pozwolił mi wejrzeć w powiązania skrzętnie dotąd ukrywane i nie będące moim udziałem. Nawet mój asystent, kolega Franciszek Kubiaczyk, z którym byłem zaprzyjaźniony, a przypuszczałem, że działa w organizacji podziemnej, niczym nie zdradził się ze swoim życiem konspiracyjnym. Tylko pośrednio przez Jasia Waltera wiedziałem coś niecoś.

Kubiaczyk, chociaż przyszedł do pracy w Szpitalu ze spalonej pozycji, po pewnym czasie zaczął wyjeżdżać, najpewniej do Warszawy. Jesienią 1943 roku wyszedł po dobowym dyżurze szpitalnym wcześniej niż zwykle i odtąd wszelki ślad po nim zginął. Od Waltera i Zofii Godlewskiej, pielęgniarki sympatyzującej z kolegą Kubiaczykiem, dowiedziałem się po jego zaginięciu, że pracował we władzach Stronnictwa Ludowego. Między innymi miał brać udział w opracowywaniu przyszłej struktury Służby Zdrowia w Polsce po wojnie. W różnych latach starałem się zebrać wiadomości o losach Kubiaczyka. Indagowałem w tej sprawie doktora Franciszka Litwina, pierwszego po wojnie ministra Zdrowia i Opieki Społecznej, od szkolnych lat działacza lewicowej organizacji młodzieży wiejskiej – bezskutecznie. Kolega Litwin (był moim kolegą szkolnym) nie znał nazwiska Kubiaczyka, choć ten ostatni mógł działać pod pseudonimem. Po wojnie apelowałem do Władz Miejskich w Pruszkowie, żeby uczcić pamięć kolegi Franciszka Kubiaczyka przez wmurowanie odpowiedniej tablicy na terenie Szpitala. Nie osiągnęłem skutku.

Franciszek Kubiaczyk, jak to wyżej podałem, był lekarzem z powołania i godnym obywatelem Kraju.



W 1942 roku notowaliśmy znaczne nasilenie zachorowań na dur plamisty, czemu sprzyjały wyjazdy po zakupy żywności, nie-raz do odległych miejscowości, w ciasnych zatłoczonych środ-

kach komunikacji i nocowanie w przygodnych kwaterach. W tych warunkach, gdy dowiedziałem się od chorego czy rodziny, że wyjeżdżają w podobnych okolicznościach z pewną regularnością, oczekiwałem następnego zachorowania zgodnie z czasem wylęgania się duru plamistego. Pod koniec wojny zachorowania stały się sporadyczne i mówiło się w medycynie o wznowach duru, ale w przypadkach, które trafiły pod moją opiekę, mogłem doszukać się świeżego źródła zakażenia. Dla przykładu: jedna z pacjentek odwiedziła muzeum i chodziła w słomianych bamboszach, które zakładali przyjezdni z różnych, nieraz odległych, okolic i o pozostawienie zakażonej wszy w bamboszach nie było trudno. Muszę przyznać, że z dudem plamistym nie zetknęłem się ani na studiach, ani później w praktyce lekarskiej w szpitalu, jak również w terenie, aż do przełomu 1939/1940 roku. W czasie wojny zdobyłem duże doświadczenie w rozpoznawaniu i leczeniu duru plamistego. W 1940 roku już wczesną wiosną byłem świadkiem szerzenia się epidemii innej choroby: zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych na tle zakażenia dwoinką zwaną meningokokiem. Zarazki tej choroby, pospolicie zwanej "drętvicą karku" przyniosły wojska ze Wschodu na nasze tereny przyłączone do Związku Radzieckiego, stąd epidemia z pewnym opóźnieniem i w mniejszym nasileniu przedostawała się na teren okupacji niemieckiej. W prowadzonym przeze mnie oddziale zakaźnym Szpitala w Stanisławowie i Cumanii leczylismy jednocześnie po kilkanaście przypadków o różnym przebiegu. Były zgony, nieraz nieoczekiwane. W Pruszkowie ilość leczonych chorych w wiosennych i letnich miesiącach 1942 roku była znacznie mniejsza. I tu jednak widzieliśmy przebiegi ciężkie, posocznicze, i nieoczekiwane zgony. Zdarzyło się, że rozpoznałem drętvicę karku meningokokową u chłopca w Nadarzynie. Nakłucie lędźwiowe robiłem w domu na ławce kuchennej.

Wśród innych chorób zakaźnych o szczególnie ciężkim przebiegu wymieniam toksyczną czerwonkę, która w warunkach wojennych dawała bardzo dużą śmiertelność.



U dzieci występowała częściej błonica gardła ze zwężeniem krtani. Kto nie słyszał charakterystycznego świszczącego oddechu w tej chorobie, nie może należycie ocenić dobrodziejstwa szczepień zapobiegawczych. Toksyčna błonica dawała w czasach ostatniej wojny bardzo dużą śmiertelność.

\* \* \*

Szpital Powiatowy z obu oddziałami: chirurgiczno-położniczym w budynku przy ulicy Pięknej i zakaźno-wewnętrzny w posesji przy szosie do Tworek podlegał Wydziałowi Powiatowemu Warszawskiemu działającemu pod nadzorem kreishauptmana. Wśród urzędników niemieckich znaleźli się volksdeutsche, którzy chcąc żyć dostatnio prowadzili nielegalne transakcje, polegające, między innymi na zatrzymywaniu dla swego zespołu części żywności i opału przydzielanego w pewnym nadmiarze Szpitalowi Powiatowemu. Działo się tak przez wszystkie lata okupacji. Mimo tych machinacji Szpital otrzymywał wystarczającą ilość produktów żywnościowych i opału. Przydzielano mąkę, cukier, kasze, mięso i tłuszcze, a w okresie Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku oraz Wielkanocy dodatkowo wędzone bekonki, cukierki i herbatniki, a nawet zdarzył się przydział sardynek i owoców cytrusowych. Niewielką część z tych okazjnych przydziałów zarząd szpitala przeznaczał dla pracowników. Nie brakowało również opału. Na salach chorych i w pomieszczeniach administracyjnych było ciepło.

Szpital rozporządzał zasadniczymi lekami. Część przydziałał lekarz powiatowy Jan Dorożyński. Pochodziły one z zapasów jeszcze przedwojennych i na bieżąco z zakładów farmaceutycznych "Asmidar", działających na bazie wytwórni magistra Klawego w Warszawie na Woli. Część leków pochodziła z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża za pośrednictwem Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), ale to ostatnie źródło zasilało Szpital

w czasie i po Powstaniu Warszawskim. Były to specyfiki różnych firm szwajcarskich.

Jaką drogą właściciele aptek zdobywali leki, uzupełniając nader skąpe przydziały, trudno wyjaśnić. Nie brakowało leków zasadniczych, gotowych i materiału do przygotowywania zapisywanych na podstawie recept. Ale były również środki, nazwijmy je delikatesowe. Dla przykładu – wyciągi wątrobowe w ampułkach jak Campolon, sulfonamidy: Cibasol, Dagenan i Prontosil. Szeroko wówczas stosowana Cytotropina i Transpulmina w ampułkach, nadto witaminy o renomowanych nazwach, choćby firmy Merck, Cebion, Betabion, Becozym i Vigantol, Strophosid pochodzenia szwajcarskiego. Przypuszczam, że część przemycano przez Niemcy, część sprzedawali żołnierze niemieccy pośrednikom, szczególnie w okresie nasilenia się ruchu wojsk na Wschód.

Nie znam dokładniej dróg zaopatrzenia Szpitala w Tworkach za czasów okupacji. Ogólnie biorąc było ono poniżej najtańszej dopuszczalnej normy kalorycznej, gdyż Niemcy uważali psychicznie chorych za niepotrzebny balast, którego należy się pozbyć. Dano temu wyraz, prowadząc na zagładę pacjentów z większości szpitali psychiatrycznych w okupowanej Polsce. Tworki uniknęły tego losu dzięki zgodnym wysiłkom całego personelu z siostrami szarytkami na czele. Za okupacji nie znano jeszcze współczesnej farmakoterapii psychoz, dysponując innymi lekami, radzono sobie w bardzo skromnym zakresie.

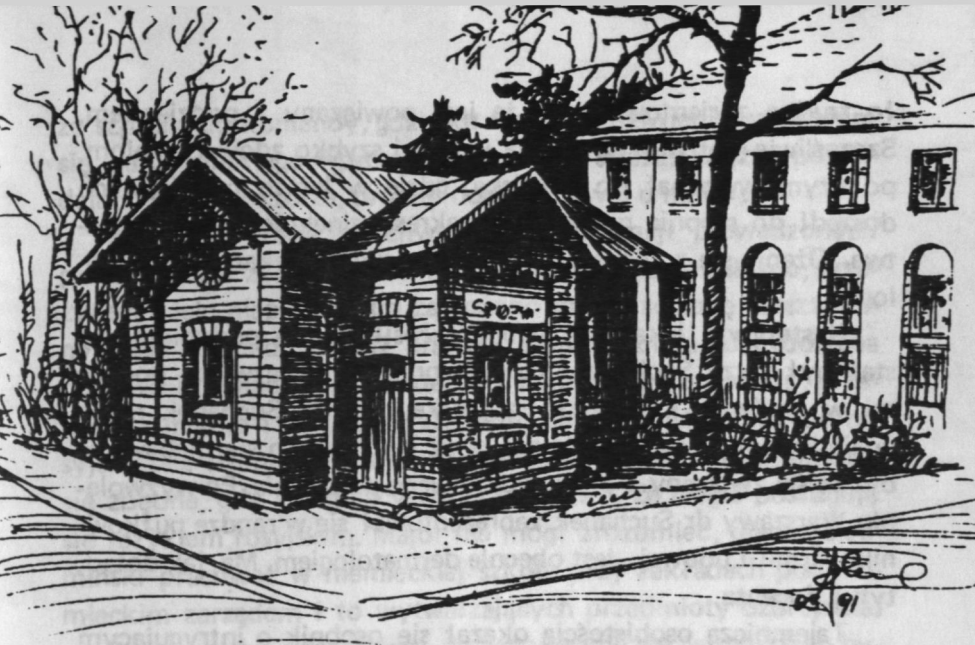
Przydziały kartkowe dla ludności polskiej były bardzo niskie, znacznie poniżej normy kalorycznej i jakościowej a produkty podstawowe, jak chleb – bardzo różniły się od przedwojennego poziomu. Jedną z dróg zdobywania środków na zakup żywności było produkowanie w Pruszkowie samogonu, nazywanego "bimbrem". O powszechności wytwarzania tego produktu może świadczyć fakt, że nie pozbawieni dowcipu konduktorzy kolejki EKD ogłaszali przystanek w Pruszkowie jako Bimbbersztat. Odwiedzając chorych w domach, musiałem raz po raz próbować wytwa-

rzany produkt spirytusowy, nierzadko na tyle rektyfikowany, że nie tylko nie budził obaw co do własności toksycznych, ale smakował nie gorzej od wytwarzanego oficjalnie. Przepuszczam też, że smakowicie przyrządzana pieczeń, którą najczęściej podawano na zakąskę, nie była wołowa lecz końska. Nie wypadało odmówić poczęstunku, gdyż były to czasy pewnego zbratania i serdeczności w ogólnym nieszczęściu.

W lecznictwie ambulatoryjnym działała Kasa Chorych, była również i prywatna praktyka.

O ile po stronie radzieckiej, na terenach przyłączonych w 1939 roku, chorzy ze Związku chętnie szukali pomocy miejscowych lekarzy Polaków, Ukraińców czy Żydów, to pod okupacją niemiecką obowiązywał zakaz leczenia Niemców (Herrenvolki) przez lekarzy Polaków, nie mówiąc już o kolegach narodowości żydowskiej. Mimo to bywały sytuacje, kiedy Niemiec, zachęcony zasłyszaną pochlebną opinią przychodził do lekarza Polaka. Chodziło wówczas najczęściej o chorobę weneryczną lub usunięcie ciąży. Były i takie sytuacje, kiedy Polka, która nawiązała współżycie z Niemcem, przychodziła do lekarza ze swoim towarzyszem, a ten zwracał uwagę lekarzowi, że leczenie ma być skuteczne.

Późną jesienią 1942 roku Niemcy zarządzili likwidację Sanatorium we Wrzesinie i przekazanie budynku Szpitalowi Powiatowemu. Po niezbędnych przystosowaniach umieszczono tam oddział chirurgiczny i położniczy, natomiast do budynku przy ulicy Pięknej przeniesiono oddział zakaźno-wewnętrzny. Przyznaję, że nie spodziewałem się takiego rozwiązania, gdyż budynek przy ulicy Pięknej nie odpowiadał ze względów sanitarnych na prowadzenie w nim oddziału zakaźnego. Co prawda zbudowano dodatkowe szambo, ale nie miało ono odpływu, tak, że nieczystości zawierające kał chorych na dur brzuszny i czerwonkę wyciekały na zewnątrz i płynęły przy krawężnikach ulicą aż do obecnie czynnej stacji benzynowej. W decyzji przeważyły inne względy wymagające dogodniejszego usytuowania oddziału chi-



*Dawna portiernia, obecnie kiosk spożywczy*

rurgicznego.

W związku z przenosinami zaproponowano mi zwolnienie mieszkania, które zajmowałem we Wrzesinie w przyziemiu. Mieszkanie przeznaczone dla lekarza miejscowego, stanowiło pewną całość, z wyjściem do ogrodu. Sprawa upadła, gdy nie wyraziłem zgody – a byłem sam z trojgiem dzieci, zaś mieszkania zastępczego nie przewidziano.

Po aresztowaniu intendenta Papieskiego i wycofaniu się z pracy w Szpitalu doktora Gawlikowskiego, czynności dyrektora i chirurga przejął – jak już wspominałem – pułkownik lekarz Michał Dobulewicz, z którym współpraca ułożyła się bardzo dobrze, a nadchodziły szczególnie ciężkie czasy. Do pracy w oddziale chirurgicznym przyszła studentka czwartego roku medycyny Komorowska i studiujący w szkole prowadzonej przez docenta Zaorskiego w Warszawie Tadeusz Zieliński. Miał zaliczone dwa lata nauki medycznej. Co do tego młodego kolegi, to nie by-

ło trudno zorientować się, że jest powiązany z podziemiem. Szczęśliwie dotrwał do końca wojny i szybko zdobył dyplom, po czym wyjechał do Gdańska, gdzie w latach późniejszych doszedł do stopnia profesora w zakresie ginekologii i położnictwa. Ożenił się z córką doktora Dobulewicza, lekarza rentgenologa.

Następnym lekarzem, który zgłosił się na podyplomowy staż był Jerzy Suchanek, którego prawdziwe nazwisko podała mi w zaufaniu koleżanka Fabjańska. Doktor Suchanek mało udzielał się w pracy szpitalnej, gdyż jak okazało się niebawem, był ściśle związany z pracą wojskowego podziemia. Po wyzwoleniu Warszawy dr Suchanek zaprezentował się w randze pułkownika Armii Ludowej. Jest obecnie dermatologiem. Ma, jak dotąd, tytuł docenta.

Tajemniczą osobistością okazał się osobnik o intrygującym imieniu i nazwisku — Atanazy Jamiński. Podawał się za absolwenta wydziału lekarskiego Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Był ubrany w części umundurowania żołnierza radzieckiego. Oczywiście bez dystynkcji. Indagowany przeze mnie na temat studiów, dobrze orientował się w kadrze profesorskiej a jego wiadomości teoretyczne i praktyczne sugerowały lekarza już z pewnym doświadczeniem. Nie mogłem zorientować się, dlaczego Jamiński, co do którego narodowości żydowskiej nie miałem wątpliwości, po przyjeździe objął pracę nauczyciela języka niemieckiego w przykładowej szkole Fabryki Stowarzyszenia Mechaników, podczas okupacji działającej pod firmą niemiecką "Waverma" i pracującej dla wojska. W wolnych godzinach pracował w Szpitalu w oddziale zakaźnym, wkrótce też zaczął rozwijać praktykę w mieście. Z niepokojem śledziłem to rzucające się w oczy nieostrożne postępowanie. Latem 1944 roku, jeszcze przed wybuchem Powstania Warszawskiego, Jamiński gdzieś zapodział się. Wrócił na początku listopada ze świeżą blizną po plastycznej operacji nosa, ale zabawił niedługo. W początkach lutego 1945 roku zostałem zabrany przez majora NKWD

ze szpitala do komendy, gdzie ku mojemu zdziwieniu natknąłem się na Jamińskiego wprowadzonego pod strażą. Zdążył powiedzieć "panie doktorze, proszę dobrze mówić o mnie".

Zanim w czasie podchwytliwych indagacji prowadzonych przez majora zorientowałem się, że chodzi o Jamińskiego, przeżyłem wiele niepokoju, bo zagrożono mi, że zostanę aresztowany, jeśli nie będę mówił prawdy. Dopiero moja zdecydowana postawa i oświadczenie, że dotąd mówiłem tylko prawdę, przekonała majora i przystąpił do sedna sprawy. Mówiliśmy po rosyjsku bez tłumaczki, osoby w randze lejtenanta, która okazała się zbędna, gdy indagujący zorientował się, że biegle posługuję się językiem rosyjskim. Major nie mógł zrozumieć, dlaczego Jamiński pracował w niemieckiej szkole przy zakładach pod niemieckim zarządem i to wytwarzających przedmioty uzbrojenia.

Na początku wyjaśniłem, że zachowanie się Jamińskiego było takie, jakby przybył na teren okupacji niemieckiej w charakterze emisariusza Władzy Radzieckiej, a dlaczego poszedł do pracy w zakładach zbrojeniowych — to był jego bardzo ryzykowny krok, gra va banque. Pracując u Niemców mógł łatwiej ukrywać się. Do pracy w szpitalu zgłosił się ze skierowaniem Arbeitsamtu "birży truda", jak to trafnie przetłumaczył major NKWD.

Przypuszczam, że w kadrach szpitala znajduje się odpowiedni dokument — podesunęłem mojemu rozmówcy. Na tym zakończone zostało "przesłuchanie". Major polecił mi przynieść na jutro ze szpitala teczkę osobistą Jamińskiego. Znajdował się w niej, na szczęście, potrzebny dokument.

Gdy przyszedłem następnego dnia rano, major już czekał. Obejrzał dokument, popatrzył na mnie i oświadczył:

— A wszystko jedno! — Wyście wygadywali na Radziecką Armię! — To nie jest prawdą! Proszę mi przedstawić takich, którzy podobne kłamstwa donieśli.

— No dobrze, idźcie do pracy — zawyrokował major.

Tego samego dnia widziałem jak Jamiński z plecakiem goni za ciężarówką i wskakuje do środka. Samochód kierował się

w stronę Warszawy.

Jamiński trafił do Gdańska, gdzie przez parę lat zajmował wyższe stanowisko w administracji Służby Zdrowia. Zachorował psychicznie, przez kilka lat leczył się w szpitalu psychiatrycznym w Świeciu, wreszcie trafił do Tworek, gdzie konsultowałem go z powodu ciężko przebiegającego zapalenia płuc. Miał inne nazwisko, odpowiadające jego narodowości. W czasie okupacyjnej pracy w Pruszkowie ukrywał stan lekarski. Jego nieobliczalne postępowanie mogło wiązać się z później ujawnioną chorobą psychiczną.

\*

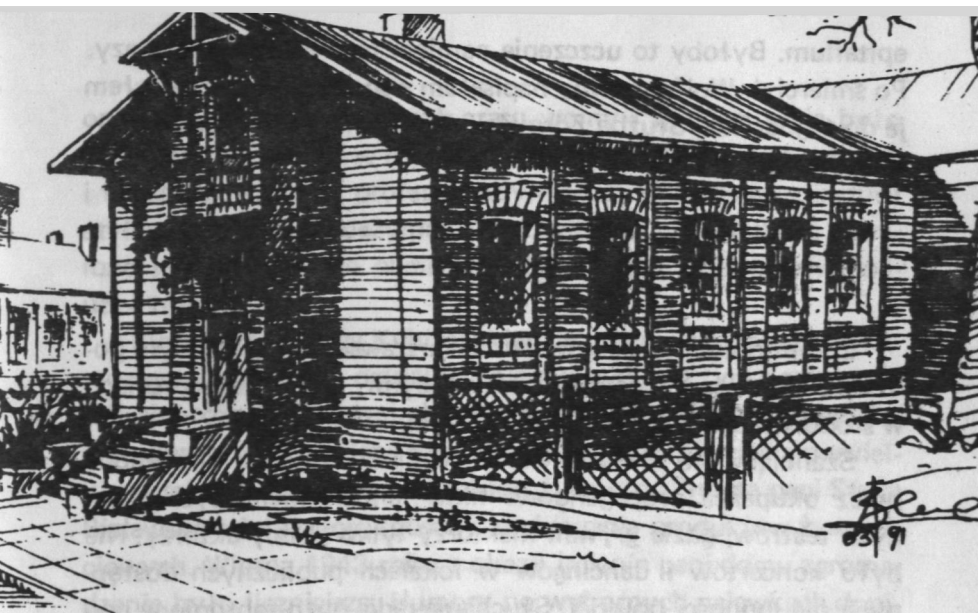
\*

\*

Ogólnie biorąc życie szpitalne płynęło monotonnie do czasu wybuchu Powstania Warszawskiego. Chorzy i personel czuli się względnie bezpieczni, gdy na zewnątrz dokonywano aresztowań, powtarzały się łapanki, uliczne egzekucje i deportacje do obozów. Do oddziału chirurgicznego przywożono od czasu do czasu rannych, obywateli cywilnych, postrzelonych na torach kolejowych w szerzej stosowanej akcji wyrzucania brył węgla, nie tylko z wagonów stojących na rampach, ale i z pociągów w ruchu. W opinii polskiego społeczeństwa nie był to pospolity rabunek, lecz prawie jedyna droga zdobycia opału dla wielu rodzin. Rannymi węglarzami opiekowano się troskliwie i powiedziałbym — serdecznie.

Część rannych przybywała do Szpitala z ominięciem straży kolejowej (Bahnschutzen) czy władz okupacyjnych w ogóle, mimo to należało donosić o każdym przypadku rany postrzałowej. Takich chorych starano się ukrywać, gdyż zatajenie udzielenia pomocy w takich przypadkach groziło ciężkimi następstwami ze strony Niemców — i lekarzom, i rannemu.

Zdarzyło się, że ktoś z odwiedzających rozpoznał na sali chorych rannego poszukiwanego partyzanta. Osobnikiem rozpo-



*Jeden z dawnych pawilonów psychiatrycznych*

nającym był, jak się okazało, volksdeutsch znany ze swojej gorliwości. Ewakuacja rannego o pseudonimie "Bystry" odbyła się niezwykle sprawnie i szybko. Żandarmeria niemiecka, która zjawiła się następnego dnia, już nie zastała poszukiwanego. "Bystrego" ukryto na peryferiach Pruszkowa, dokąd dojeżdżała lekarka Izabela Wolframówna i robiła opatrunki. Nie zastosowano żadnych represji wobec personelu Szpitala.

Doktor Izabela Wolframówna, godna wszelkiego szacunku, została po wojnie odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi, choć należało się jej na pewno odznaczenie bojowe. Była zastępcą lekarza Rejonu AK, pseudonim Bożymir II. Niestrudzona i nieustraszona Samarytanka, niosła pomoc rannym i chorym, a po wojnie roztaczała opiekę nad przyszłymi matkami.

Doktor Izabela była osobą głęboko wierzącą. W kruchcie kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Kazimierza w Pruszkowie umieszczono tablicę. Zachęcam do odczytania treści tego



epitafium. Byłoby to uczczenie pamięci tego lekarza bez skazy. Po śmierci dr Wolframówny napisałem wspomnienie i przesłałem je do tygodnika "Służba Zdrowia". Wspomnienie nie zostało wydrukowane!

\*

\*

\*

Zanim opiszę czasy Powstania Warszawskiego, chciałbym podzielić się wiadomościami dotyczącymi życia towarzyskiego w środowisku, w którym się obracałem.

Szanujący się Rodacy nie chodzili do kina na dozwolone przez okupanta propagandowe filmy, ani do nielicznych czynnych teatrów, gdzie grywali niektórzy tylko polscy aktorzy. Nie było koncertów i dancingów w lokalach publicznych dostępnych dla ludności polskiej. Słuchanie radia było zabronione pod karą obozu, a nawet śmierci.

W tych warunkach chętnie zbierano się przy różnych okazjach w wypróbowanych co do postawy patriotycznej grupach w domach prywatnych, a że obowiązywała godzina policyjna, zebrania z konieczności przeciągały się do świtu. W rozmowach przekazywano sobie wiadomości lokalne i kolportowane wydarzenia ze świata usłyszane z radia londyńskiego. Odpowiednie biuletyny były przekazywane z rąk do rąk. Mówiło się o wydarzeniach codziennych: łapanekach, aresztowaniach i zsyłaniu do obozów; o werbunkach osób przymuszanych do pracy w Niemczech. Krążyło sporo plotek i kawałów, grano w brydża i zastanawiano się, gdzie by można zarobić lub zdobyć żywność, a gdzie udzielić pomocy najbardziej potrzebującym, szczególnie osieroconym rodzinom osób aresztowanych. Również tańczono i flirtowano przy ściszonej muzyce z płyt, grano na fortepianie muzykę poważną. Gdy wspominam te czasy, nie mogę nadziwić się, że stół na takich zebraniach czy przyjęciach bywał niezłe za-

opatrzone, nie przypominał czasu wojny i okupacji. Nie było kłopotu z alkoholem w rodzinach lekarskich, również położnych i felczerów, które to profesje otrzymywały przydziały spirytusu etylowego do celów dezynfekcji; gdzieindziej pito bimber i chwalaono jego jakość. Nie pamiętam, żeby ktoś z uczestników nadużył trunku.

Bywałem z kolegą Kubiaczykiem w gościnnym domu aptekarstwa Bielawskich, dzisiaj już nie żyjących. W tym domu zbierali się różni goście, między innymi rolnicy spoza Pruszkowa, a że siostra magistra Jana Bielawskiego była właścicielką niewielkiego folwarku, stamtąd dowożono żywność. Zresztą pani Stella Bielawska miała swoje sposoby zdobywania produktów żywnościowych. Wiosną 1943 roku z okazji imienin pani domu zgromadzenie było liczniejsze. Humory po wybornych nalewkach dopisywały. Już dobrze po północy otworzono okna, bo noc była ciepła i pogodna. Wtedy solenizantka pani Stella, absolwentka konserwatorium muzycznego w Moskwie, odegrała poloneza As-dur Szopena, a potem nasz hymn narodowy. Nie taję, że był to wyczyn niezmiernie ryzykowny, gdyż dom przy ulicy Bolesława Prusa sąsiedował z mieszczącą się naprzeciwko kwaterą komisarza miasta – Waltera Bocka.

Pani Stella była Żydówką wychowaną w Moskwie. Do Pruszkowa przyjechała po I Wojnie Światowej, co nie było tajemnicą i ta okoliczność nadawała sytuacji na przyjęciu szczególnego charakteru. Pani Stella przetrwała wojnę, nie ukrywając się, przeciwnie, gdy jej mąż, magister Jan (Jasio) został zatrzymany przez gestapo w związku z wykryciem u magistra Henryka Jędrzaka – pracownika apteki, stacji nasłuchu radiowego z Londynu i kolportażu biuletynów, pani Stella interweniowała osobiście u władz niemieckich. Znałem życiorys tej odważnej kobiety i nie dziwiłem się, że jej humor mógł być tak dalece niewspółmierny do sytuacji wojenno-okupacyjnej.

We "Wrzesinie" mieszkała pewna ilość lekarzy i pielęgniarek oraz osób z personelu administracyjnego. Między innymi wspo-

mniany już Jan Walter, wszędobylski, popularny. Poza pracą w Szpitalu na stanowisku zaopatrzeniowca uprawiał praktykę weterynaryjną. Miał dużo wiadomości fachowych i wycucia, chociaż nie ukończył jeszcze studiów. Jasio Walter przynosił z terenu różne wiadomości – prawdopodobne i mniej wiarygodne.

W latach 1942–1945 bardzo rzadko jeździłem do Warszawy, ale zdarzyło się, że któregoś wiosennego dnia po południu w 1942 roku wsiałem do kolejki EKD, żeby dojechać do Tworek, gdzie pracował mój ojciec i mieszkali moi rodzice.

Tymczasem w wagonie spotkałem małą mi jeszcze znaną panią Alę i pojechałem z nią do Warszawy, gdzie w bezpiecznej, jak mi się wydawało, atmosferze mieszkania siostry pani Ali zastałem alarm lotniczy już po godzinie policyjnej.

Wkrótce poleciały na Warszawę bomby, chyba pierwsze od Września 1939 roku. Było ogromne zaskoczenie. Znajdowałem się na trzecim piętrze kamienicy przy ulicy Wspólnej. Niczego bardziej nie bałem się tak, jak pogrzebania pod gruzami walącego się domu. Szybko zdecydowałem się, chwyciłem panią Alę za rękę i zbiegliśmy na ulicę. Trzeba było dobiec do większego skweru, żeby uniknąć pogrzebania w gruzach. Ledwie zdążyliśmy przebiec kilkadziesiąt metrów, gdy posłyszałem głos z drugiej strony ulicy.

— "Panie, czyś pan zwarłował? Przecież zastrzelą was niechybnie! Skryjcie się do najbliższej bramy!"

Oczywiście właściciel popularnej rykszy, który nas ostrzegł, miał rację. Posłuchaliśmy. Jeszcze zdążyliśmy usłyszeć na ulicy okrzyki "Niech żyje Polska"! Z klatki schodowej widzieliśmy przez okna fantastyczne lampiony zawieszane na spadochronach oświetlające miasto. Detonacje słyhać było z różnych kierunków. Rozlegało się zewsząd charakterystyczne wycie i łoskot spadających bomb, czego mój system nerwowy nie tolerował od czasu, gdy nad ukrytym wśród lasów Wołyniu szpitalem rejonowym pojawiły się nieoczekiwane samoloty niemieckie i nieba-

wem zaczęto zwozić i znosić rannych.

Serce łomotało mi gwałtownie, trzymałem mocno moją towarzyszkę i to mi dodawało otuchy. Pani Ala okazała się bardziej wytrzymała ode mnie. Nalot trwał około 2 godzin. Zniszczono, jak się później okazało, obiekty przeważnie o znaczeniu strategicznym. Były liczne ofiary w ludziach. Między innymi zginął nieco starszy ode mnie kolaga docent Stanisław From, kardiolog z kliniki profesora Witolda Orłowskiego. Rodzina docenta uratowała się, gdyż zawałeniu uległa tylko część domu, dokąd w ostatniej chwili skierował się ten nieodżałowany lekarz.

Po tym bombardowaniu, którego dokonało lotnictwo radzieckie, następne zdarzyło się jesienią tegoż roku, ale oglądałem je z Pruszkowa, choć z nie mniejszym przejęciem.

Pani Ala, nie chcąc się narazić na ponowne naloty, przeniosła się do Leśnej Podkowy, dokąd i ja kierowałem wypady.

W lipcu 1944 roku dały się zauważyć oznaki niepokoju wśród Niemców. Dochodziły wieści o ruchach wojsk okupanta na Zachód. Ewakuowano część urzędów i rodzin niemieckich. Zagony wojsk radzieckich i naszych zbliżały się do Wisły i wydawało się, że wyzwolenie zbliża się wielkimi krokami. Tymczasem w drugiej połowie lipca atmosfera odwrotu przycichła. Nie wtajemniczonym rodakom nie przychodziła myśl o możliwości zbrojnej akcji w Warszawie. Była zachowana ścisła tajemnica, może nie tyle co do samego powstania, lecz co do terminu jego wybuchu, choćby ze względu na zatrzymanie się ofensywy wojsk radzieckich i naszych. Wieść o wybuchu powstania przyszła zniekacka, choć już w dniach poprzedzających wyczuwało się pewien niepokój. Część osób dojeżdżających z Pruszkowa do Warszawy nie zdążyła powrócić do domu. Mowa tu oczywiście o tych, co nie byli związani ze zbrojną akcją, czy służbą pomocniczą.

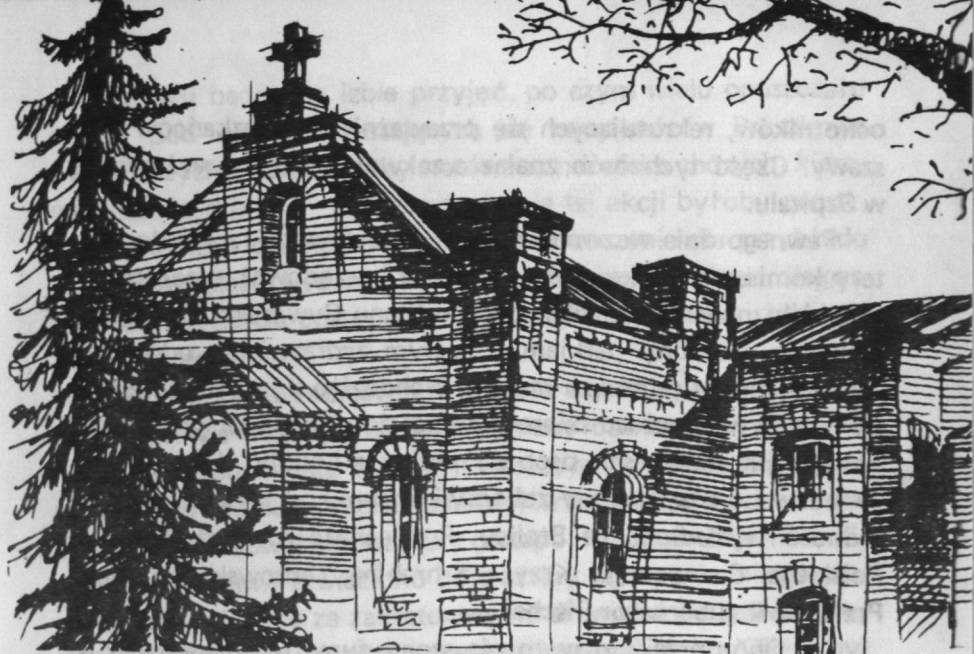
Dzień nie był upalny, słońce przesiane przez mgiełki, odczuwało się lekki powiew. Wracałem z oddziału zakaźnego do domu we Wrzesinie około godziny trzeciej. Oddziałem opiekował

się po zaginięciu kolegi Kubiaczyka młody lekarz Władysław Szymański. Mijałem mniej licznych tego dnia przechodniów poważnych, zamyślonych, czasem jakby przemykających się. Była przynębiająca cisza, a może ja tak odbierałem tę atmosferę.

We Wrzesinie zastałem gorączkowe przygotowania w przewidywaniu napływu rannych. Zjawiło się kilka znajomych osób z prośbą o pozwolenie pozostania, zanim sytuacja nie wyjaśni się. Godziny oczekiwania... O zmierzchu powróciły z Warszawy dwie pielęgniarki, które od granicy miasta szły pieszo. Syn doktora Dobulewicza i jego rówieśnik, siostrzeniec pani Dobulewiczowej, obaj studenci medycyny, stanęli w szeregach walczących. Zginęli w pierwszych dniach Powstania. Noc z 1 na 2 sierpnia minęła spokojnie. Rankiem od strony Pęcic nadjechał czołg niemiecki, ale wkrótce cofnął się. Do szpitala dobrnęła dziewczyna i chłopak, oboje lżej ranni posuwali się od strony Pęcic zaroślami po nabrzeżu stawów. Od nich dowiedzieliśmy się, że między Raszynem a Pęcicami otoczono grupę młodzieży harcerskiej. Prawie wszyscy zginęli od kul egzekucji. Leżą we wspólnej bratniej mogile na terenie Parku w Pęcicach. Na polach między tym majątkiem, a terenem szpitala byli jeszcze pojedynczy ranni powstańcy ukryci w kopach snopów zboża. Tych sprowadzano lub przynoszono na noszach do szpitala na oddział chirurgiczny.

W tej bardzo niebezpiecznej akcji odznaczyła się młoda kandydatka na pielęgniarkę Irena Kaczyńska i sanitariusz Bolek Woszczyński oraz salowa Czerepiuszka. Dzisiaj już nie pamiętam, ilu z tych rannych młodych ludzi zostało w szpitalu, a kogo po zaopatrzeniu chirurgicznym ukryto poza szpitalem, co nie było pozbawione dużego ryzyka. Dopiero, gdy zaczęli przybywać ranni i chorzy z obozu w Pruszkowie, kierowani przez działających tam lekarzy, ukrywanie zgłaszających się bezpośrednio rannych stało się łatwiejsze.

Przez pierwszy tydzień, może nieco dłużej, losy walczących w Warszawie były nam znane urywkowo drogą okólną przez



*Dawna kaplica szpitalna – obecnie apteka*

radio londyńskie. Po okrążeniu i wymordowaniu grup powstańczych, które walczyły na samym początku na rubieżach Stolicy, panował na terenie Pruszkowa względny spokój. Niemcy zarządzili wczesną godzinę policyjną.

Kilka dni po założeniu obozu w Warsztatach Kolejowych na Żbikowie, odbyła się egzekucja na terenie dołów przy ruinach cegielni Potulickich na pograniczu Komorowa. Roztrzelano tam kilkadziesiąt osób. Jeden z mężczyzn pozostawiony na placu egzekucji ocalał. Trafiony w okolice szyi upadł, ale po odejściu plutonu egzekucyjnego dotarł do szpitala we Wrzesinie i wyzdrowiał mimo rany i upływu krwi. Nie pamiętam, co przekazał opiekującemu się nim personelowi. Od drugiej połowy sierpnia Szpital Powiatowy, szczególnie oddział chirurgiczny, był tak przepełniony, że część chorych nie wymagających większych zabiegów i doglądu, kierowano do powstałych doraźnie szpitali w najbliższym terenie, między innymi również na teren Szpitala w Tworkach. Powiększył się personel pracujący na warunkach

ochotników, rekrutujących się przeważnie z mieszkańców Warszawy. Część tych osób znalazła zakwaterowanie i wyżywienie w Szpitalu.

Pewnego dnia wezwano doktora Dobulewicza i mnie do kwatery komisarza Bocka, który mieszkał i urzędował w pałacu Potulickich, obecnej siedziby Urzędu Stanu Cywilnego. Pałac był wówczas otoczony parkiem o gęstym zadrzewieniu odgradzonym od miasta ceglany murem. Wchodziło się na ten teren jak do twierdzy. W pałacu skierowano nas do jednej z sal, gdzie oczekiwało już kilkanaście osób z Pruszkowa i okolic. Okazało się, że wezwano nas, abyśmy zobaczyli warunki, w jakich przebywa ludność wysiedlona ze Stolicy. Przyjechała również delegacja Polskiego Czerwonego Krzyża z hrabiną Tarnowską na czele. Przemówił gubernator Fischer.

— Obóz przejściowy to nie sanatorium (Übergangslager ist kein Sanatorium) — powiedział ma wstępie. Ale warunki, jak na szczególne okoliczności wojenne, nie są złe.

Zawieziono nas do obozu. Widok był przygnębiający. W dużych halach warsztatowych koczowali na podłodze zbiedzeni wysiedleńcy ze Stolicy. Dopuszczeni z zewnątrz lekarze, pielęgniarki i inne osoby, chętne do obsługiwaniania wysiedlonych, krzątały się i niosły pomoc. Podawano herbatę, a dzieciom mleko, roznoszono zupełną obozową, ale znaczną część jedzenia przynoszono z miasta z darów ludności.

W stojącym na torach wagonie osobowym urzędowało gestapo. Naczelnym lekarzem był wojskowy o nazwisku, o ile pamiętam, König. W czasie trwania obozu patrzył przez palce na zbyt dużą ilość uznawanych za chorych i kierowanych do szpitali. Polscy lekarze stwierdzali przeważnie choroby zakaźne, lub sugerowali konieczność potwierdzenia swego rozpoznania i leczenia poza obozem. Tacy właśnie chorzy przybywali do leżącego obok torów kolejowych, naprzeciwko obozu, oddziału zakaźno-wewnętrznego prowadzonego przeze mnie. Żaden chory nie wracał do obozu, chociaż większość nie była zakaźnie chora. Po prostu

chorzy byli badani w izbie przyjęć, po czym wielu opuszczało szpital pod opieką zgłaszających się mieszkańców Pruszkowa i najbliższych okolic. Gdyby notowano nazwiska chorych, kierowanych do szpitali, to rozszyfrowanie tej akcji byłoby proste, a jak groźne w skutkach, wystarczy przytoczenie dla przykładu małego znaczącego wydarzenia, które wystarczyło jednak dla gestapo do wszczęcia postępowania wyjaśniającego — że użyję terminologii prawniczej.

Jedna z przebywających w obozie kobiet, pewna tego, że w Pruszkowie może jej udzielić pomocy doktor Steffen ojciec, napisała odpowiednią kartkę i wręczyła ją osobie pracującej w obozie w charakterze pielęgniarki. Kartka nie trafiła do adresata lecz do obozowej ekspozytury gestapo. Najpierw zabrano mnie z ambulatorium i zawieziono do siedziby gestapo w mieście, zamykając w piwnicy za zakratowanymi drzwiami. Po pół godziny przywieziono ojca, co obserwowałem przez okienko. Ojciec był przesłuchiwany pierwszy. Badanie przeprowadzone ze mną odbywało się w sposób typowy: siedziałem na krześle, obok mnie tłumacz, natomiast młody gestapowiec, siedzący naprzeciw mnie na stole, oglądał automat wielostrzałowy.

— Zapewne widuje pan codziennie te liczne zapisane kartki poprzyklejane do parkanów i murów? Czego one dotyczą?

— Jestem zapracowany, ale sprawdzałem treść takich kartek. To są próby odnalezienia rodzin. Piszą je wysiedleni mieszkańcy Warszawy.

— A te biuletyny radiowe i prasa podziemna, którą panu dostarczają, co zawierają?

— Nie spotkałem się z taką akcją.

— Jak to, chyba uważa się pan za dobrego Polaka?

— Tak, ale nadmiar pracy lekarskiej nie pozwala mi na zajmowanie się tym, o co pan pyta.

Popatrzyłem na tłumacza i widzę, że spocił się, chyba z emocji, gdyż był to volksdeutsch, którego żona przebywała u mnie w szpitalu ciężką czerwonką. Zachowywał się wówczas nader



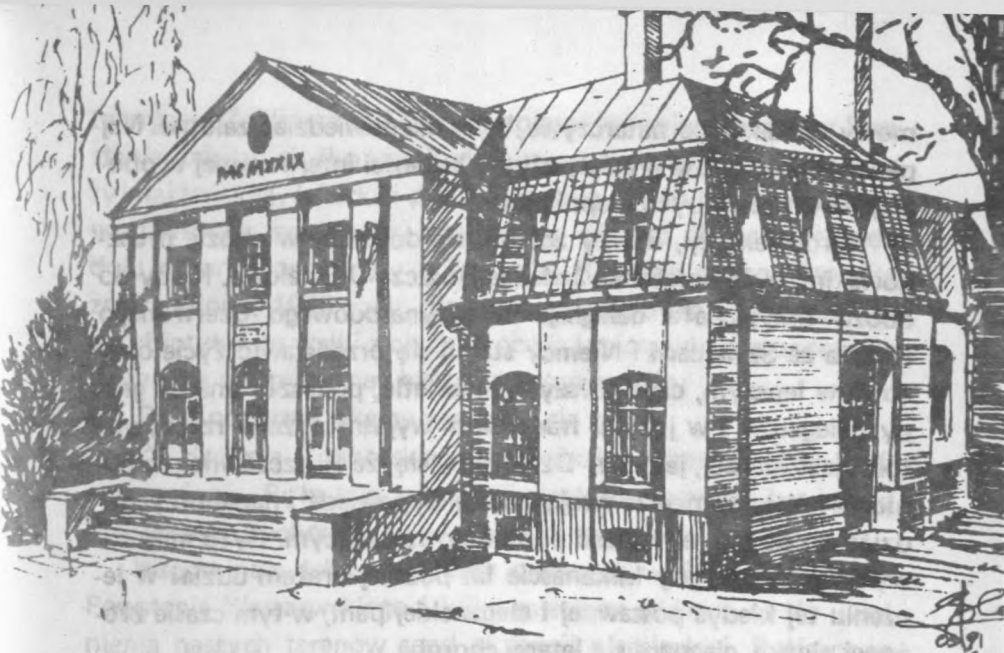
poprawnie. Poprosiłem o szklankę wody, którą Cymmermann przyniósł w przerwie indagowania. Wtedy nachylił się i powiedział

— Panie doktorze, czemu pan tak często "podpada"?, gdyż było to już drugie spotkanie z gestapo w ciągu niedługiego czasu.

W dalszym ciągu wyjaśniłem, że obaj, ojciec i ja, jesteśmy znani tu w Pruszkowie i okolicy, również w Warszawie. Dlatego nie ma w tym nic dziwnego, że ludzie w potrzebie zwracają się do nas o pomoc. Na tym badanie skończono i razem z ojcem zeszliśmy do przedsiönka i na podwórze, ale po drodze przypomniałem sobie, że w pokoju zostawiłem teczkę z aparatem do mierzenia ciśnienia krwi. Prosiłem, aby Cymmermann przyniósł mi teczkę. Czekaliśmy na powrót wysłannika kilkanaście minut, podczas których rozważaliśmy, jakie będą nasze dalsze losy. Chyba nas zawiozą gdzieś za miasto, powiedział ojciec i rozrzekają... Ale tłumacz z teczką przyszedł i przeprowadził nas przez bramę na ulicę Parkową, gdyż tam urzędowało pruszkowskie gestapo. Nadchodziła godzina policyjna i mimo, że obaj mieliśmy zezwolenie na poruszanie się po terenie nocą, nie poszliśmy do domów, lecz skorzystali z gościny u najbliższej mieszkającego doktora Leszka Wolframa. Nie od razu mogliśmy ochłonać z doznanego przeżycia.

Opisane wydarzenie dowiodło, jak rozwinięta była siatka szpiegowska w obozie i jak niebezpieczna akcja uwalniania rzekomo chorych. Ale wówczas nie myślało się o tym. Na szczęście Niemców nie interesowała w tych okolicznościach kategoria ludzi chorych stanowiących obciążenie. Wygubić ich nie mogli, gdyż czas takich akcji minął. Poszukiwali przywódców i członków oporu, nazywając ich bandytami.

W obozie przewijały się osoby podające się za służbę lekarsko-pielęgniarską. Wyróżniali się wścibską ruchliwością i ożywionymi kontaktami z przedstawicielami władz okupacyjnych. Byli dobrze, a nawet elegancko ubrani, nie przypominający wysiedleń-



*Dom Kultury – Świetlica*

ców ze Stolicy, nadto nie byli znani w środowisku, z którego mieli się rekrutować.

W pierwszych latach powojennych powtarzano po cichu, że ta czy inna osoba żyje ponad stan, zapewne za wyłudzone w obozie kosztowności. Trzeba przyznać i to, że ten i ów z wysiedleńców warszawskich sam proponował w obozie odpłatność za pomoc. Jeden z moich bliskich znajomych, któremu wyjście z obozu ułatwiła przyuczona pielęgniarka z mojego oddziału, chcąc za moim pośrednictwem przekazać jej ozdobny pierścionek, wręczył go mnie. ~~ale~~ ~~panna~~ ~~Maria~~ zdecydowanie odmówiła przyjęcia, mimo moich tłumaczeń i serdecznej zachęty.

W ciągu kilku godzin pobytu w obozie zdążyłem zauważyć kilka młodych kobiet Polek mówiących po niemiecku, prowadzących ożywioną rozmowę z umundurowanymi Niemcami z komendantury. Jedna z nich straciła ojca, którego wzięto jako zakładnika z kolejki EKD i roztrzelano. Panie były przystojne z roz-

mowy zaskakująco natarczywe, żeby nie powiedzieć zalotne. Najpewniej chodziło o grę na **pożytek** ludności internowanej w obozie, ale wrażenie było **niepokojące**.

Wśród lekarzy, którzy **zgłosili** się do pracy w obozie pruszkowskim, była koleżanka **Jadwiga Huszcza-Oszkielowa**. Kiedy do obozu przyjechała **delegacja** Międzynarodowego Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii i **Niemcy** starali się przedstawić życie obozowe w lepszym, czyli **fałszywym** świetle, podeszła ona do grupy delegatów i w języku **francuskim** wyjaśniła, że w rzeczywistości jest inaczej, jest **źle**. **Dziwiliśmy** się, że **Huszczówna** nie poniosła konsekwencji za **swoją śmiałą** wypowiedź i nadal przychodziła do obozu, aby **nieść pomoc** potrzebującym. Było mi niezwykle przykro, gdy kilkanaście lat później brałem udział w leczeniu tej kiedyś postawnej i eleganckiej pani, w tym czasie złożonej ciężką, ciągnącą się latami chorobą.

I jeszcze jeden obraz **utkwiał** mi w pamięci: odwiedziny biskupa Antoniego Szlagowskiego.

W oddzielnym **kwartale** za drutami widziałem żołnierzy Powstania w **drelichowym umundurowaniu** z dystynkcjami na furazerkach i **białoczerwonymi opaskami** na ramieniu.

W czasie Powstania **Warszawskiego** i trwania obozu dla wysiedleńców ze Stolicy w **Szpitalu Psychiatrycznym** w Tworkach wydzielono specjalne **oddziały** somatyczne dla rannych i chorych. Działał tam mój **ojciec** — Edward Steffen, w tym czasie naczelny lekarz Szpitala, **prezes** Czerwonego Krzyża w Pruszkowie. Istniał nawet **oddział gruźlicy płuc** dla potrzeb ogólnych, a nie tylko psychiatrii. W tym oddziale pracował lekarz **Kalinowski**, dyrektor i **ordynator** Sanatorium miasta stołecznego Warszawy w Otwocku oraz **lekarz** **Lucjan Dobrowolski**. Ze zlikwidowanego Szpitala **Powstańczego** na Żoliborzu trafili do Wrzesina trzej ranni lekarze: **Garmada**, **Szawdyn** i **Zatorski**. Ci dwaj ostatni byli razem z **żonami**, które opiekowały się ranną trójką umieszczoną w **jednej** separacie. Doktor **Szawdynowa** pracowała poza tym w **gabinecie rentgenowskim** Szpitala. Wśród

ranych z Żoliborza był kilkunastoletni chłopiec, łącznik z Powstania, bardzo ciężko poszkodowany, jedyny syn już starszej pary małżeńskiej, lekarki i prawnika, a nie był to typ zawadiackiego gawrosza, lecz wątłe, inteligentne dziecko. Zmarł w przededniu dotarcia penicyliny z Zachodu. Również doktor Szawdyn zmarł wiosną 1945 roku, dla niego też nie było odpowiedniego antybiotyku do walki z ciężkim powikłaniem wielonarządowym. Byłem na pogrzebie nad bardzo smutną mogiłą.

Dwaj pozostali lekarze wyleczyli się z ran.

Ze Szpitala Żoliborskiego przywieziono bardzo dużą ilość wyposażenia. Była tam przeważnie pościel, wszystko bardzo dobrej jakości, pochodzące z prywatnych mieszkań.

Wspominam lekarzy, którzy pracowali w Szpitalu w czasie Powstania Warszawskiego i kilka miesięcy później, aż do uwolnienia naszych terenów spod okupacji niemieckiej. Profesor radiologii Witold Zawadowski i doktor Zaofia Szawdyn, doktor Kunicki — późniejszy profesor neurochirurgii, doktor Deka — major, chirurg wojskowy. Szczególnie zadomowiony i sympatyczny był doktor Nyrek, lekarz weterynarii i stomatolog, późniejszy profesor biochemii na Wydziale Weterynarii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Część wymienionych osób mieszkała i żywiła się w Szpitalu dlatego życie towarzyskie, nawet w tych ciężkich czasach, było ożywione. Gdy wieczorem, gdy zasypiali chorzy, zaopatrzeni i uspokojeni lekami przeciwbólowymi, zbierało się dobrane grono personelu. Tu zawiązywały się sympatie i trwalsze związki. W oddziale wewnętrznym, nad którym, gdy zabrakło kolegi Kubiaczyka, sprawował opiekę kolega Władysław Szymański, nie tak rzutki jak jego poprzednik, ale dający się lubić za bezpośredniość w obcowaniu i lojalność.

Wśród chorych w okresie Powstania Warszawskiego i bezpośrednio po nim przebywał na oddziale wewnętrznym znany mi z czasów przedwojennych z ożywionej działalności lekarz z Warszawy narodowości żydowskiej, który w tym czasie nosił nazwisko

ko Piotr Załęski, w rzeczywistości Szpilman. Miał gabinet lekarski na ulicy Senatorskiej z aparaturą rentgenowską i reklamował się w prasie codziennej. Zyskał szeroką klientelę. Również u nas na oddziale wewnętrznym rozwijał szeroką działalność, która wykraczała poza Szpital. Pamiętam pewną osobę, ale nazwiska jej już nie mogę wymienić, która przyszła ostrzec mnie przed następstwami, jakie mogą grozić zarówno Załęskiemu jak i mnie. Było mi bardzo trudno dać do zrozumienia koledze Załęskiemu, żeby ograniczył aktywność rzucającą się w oczy i starał się o zmianę miejsca pobytu. Załęski sam poprosił o wypisanie ze Szpitala, ale zamieszkał w Żbikowie i zaczął prowadzić praktykę lekarską. Doktor Szpilman przetrwał, a po wojnie cieszył się dużymi względami u Władz.

Niemcy rzadko zjawiali się w oddziale przy ulicy Pięknej, który oficjalnie nazywał się zakaźny (Seuchenkrankenhaus).

Pewnego dnia w czasie Powstania Warszawskiego zajechał przed front budynku we Wrzesinie motocykl prowadzony przez podoficera żandarmerii polowej z pasażerką ubraną w czarny kostium smokingowego kroju. W butonierce miała wpiętą czerwoną różę. Wchodziłem na piętro, gdy posłyszałem moje nazwisko, wypowiedziane przez wojskowego z zawieszoną na piersiach półkolistą tabliczką – "Feldgendarmerie". Zatrzymałem się, a wtedy podeszła do mnie owa pani z różą i bezbłędnie po polsku zapytała, czy zechciałbym dopełnić jej odmě piersiową.

— Skierował mnie doktor Wąsowicz — wyjaśniła.

Po prześwietleniu i przekonaniu się, że ślady odmy utrzymują się, zabrałem chorą do gabinetu zagiegowego. Za nami postępował żandarm z przewieszonym przez plecy automatem. Poprosiłem do asysty i kontrolowania tętna doktora Kunickiego, chirurga, późniejszego profesora neurochirurgii. Takie zabezpieczenie było potrzebne ze względu na niecodzienną sytuację. Po ukłuciu igły uzyskałem od razu wystarczająco rozległe wahania manometru i zacząłem wprowadzać powietrze.

— Puls abest, brak tętna — powiedział doktor Kunicki.

Czułem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale pacjentka widocznie nauczona zachowania się przy zabiegu, patrzyła mi w oczy. Nie zmieniła się, oddychała prawidłowo. Oddech uzupełniłem, może nieco ostrożniej, gdyż wprowadziłem tylko pięćset milimetrów powietrza. Po zabiegu pacjentka podziękowała, wręczając honorarium, którego nie wymagałem, ale była stanowcza. Po dwóch tygodniach miałem ponowne odwiedziny. Tym razem przyjechała w towarzystwie młodego gestapowca, który wszedł za nami do sali zabiegowej i pozostał tam uzbrojony w automatyczny pistolet. Tym razem zawiodło moje opanowanie. Po wkłuciu igły nie uzyskałem wahań manometru. Próbowiałem zmieniać głębokość wkłucia igły ale bez skutku. Zaprowadziłem pacjentkę jeszcze raz do gabinetu rentgenowskiego. Nie stwierdziłem, ani śladu komory odmowej. W tej sytuacji wyjaśniłem chorej, że odma zarosła, a próby ponownych wkłuć nie są wskazane. Zmiany w płucu wyglądają zagojone. Chora przyjęła moje wyjaśnienia ze zrozumieniem.

W czasie Pierwszej Wojny Światowej i pierwszej okupacji niemieckiej powstała Rada Główna Opiekuńcza w skrócie RGO. Reaktywowano ją również w czasie ostatniej wojny. Zadaniem tej organizacji było roztaczanie opieki nad ludnością. Za jej wstawiennictwem Niemcy zezwolili na wywożenie z ocalałych budynków i piwnic Warszawy zachowanego jeszcze ruchomego dobytku i zapasów przeznaczając je do rozdziału między wysiedlonymi rodzinami. Były organizowane grupy młodych ludzi, które wyjeżdżały do Warszawy na okres kilkunastu dni. Uczestnicy byli skoszarowani w Śródmieściu i żywieni na koszt RGO. Grupy w wyznaczonych godzinach i pod strażą żołnierzy niemieckich przeszukiwały mieszkania i piwnice. Znalezione przedmioty,

szczególnie odzież, przewożono do Zakładów "Tudor" w Piastowie, gdzie rozdawano je między potrzebujące rodziny wysiedleńców. Na marginesie muszę dodać, że członkowie grup, zatrudnionych przy opisanej akcji, mieli prawo zatrzymać niewielką część znalezionych rzeczy. Czy było to przedsięwzięcie nie budzące zastrzeżeń, nie czas rostrzygać o tym po tylu latach. Uratowano jednak sporo książek z bibliotek, również uniwersyteckiej, jak również z domów prywatnych. Wywożono też obrazy, ale co się z nimi stało, nie potrafię powiedzieć.

Obok grup organizowanych przez RGO, Niemcy zarządzili wysłanie dużych grup roboczych do Warszawy. Byli codziennie wożeni pociągiem do Dworca Zachodniego i zbierani w budynku Zarządu Gazowni Warszawskiej na Woli, skąd grupy robocze szły do kopania rowów przeciwoślugowych. W gazowni mieściło się ambulatorium, gdzie urzędował lekarz, codziennie inny z Pruszkowa lub okolic oraz pielęgniarka. Byłem tam na jednym dyżurze. Przy przechodzeniu z pociągu tunelem do miasta wynikała strzelanina. Tym razem bez ofiar, ale zdarzało się, że byli ranni – tych przywożono do Pruszkowa.

W okresie między końcem Powstania Warszawskiego, a wyzwoleniem w styczniu, nadlatywały nad Pruszków pojedyncze pary samolotów radzieckich, rzucając bomby niewielkiego kalibru. Spadały na okolicę torów kolejowych, Warsztatów Naprawczych Taboru Kolejowego, w okolicy mostu na rzece Utracie.

Oddział wewnętrzno-zakaźny był najbardziej narażony na bombardowania z racji położenia tuż przy torach i przejeździe kolejowym. Na szczęście obyło się bez wypadków. Jedynie w nocy z 16/17 stycznia 1945 roku niewielka bomba trafiła w dom naprzeciwko, a podmuch zerwał część dachu szpitalnego.

W czasie kilku dni, poprzedzających ucieczkę Niemców i przyście wojsk radzieckich i naszych, było znaczne nasilenie działań artylerii, które 16 stycznia osiągnęło szczyt. Warkot samolotów i świst spadających bomb były wysoce deprymujące. Nad wieczorem tego dnia Niemcy wysadzili w powietrze magazy-



*Dawna cerkiewka, obecnie kościół katolicki*

ny amunicji w Komorowie. Szedłem właśnie z Wrzesina w stronę Pruszkowa. Podmuch był tak silny, że kilku przechodniów poupadało na ziemię, między innymi kolega Marat, chirurg.

W budynku wyleciało dużo szyb. W moim mieszkaniu również, a był przecież styczeń, na szczęście był umiarkowany mróz. Wybite okna trzeba było zabezpieczyć kocami.

Nad ranem z 16/17 stycznia ustała kanonada. Rano było już wiadomo, że Niemców nie ma w Pruszkowie. Tu i ówdzie podczas ostatniej doby spadły bomby, powstały uszkodzenia domów, ale nie było liczniejszych ofiar wśród ludności. Elektrownia ocalała. W godzinach przedpołudniowych zaczęły nadjeżdżać od strony Pęcic czołgi z polskimi godłami. Żołnierze byli wyraźnie zmęczeni, nie najlepiej odziani. Prosilili o papierosy, ale niektórzy raczej o kawałki gazetowego papieru do skręcania papierosów machorkowych; przypominało mi to jesień 1914 roku,



gdy nadchodziły w odsieczy pułki syberyjskiej piechoty, których żołnierze również poszukiwali nie chleba, lecz papieru do skrętów machorkowych.

Nie wszyscy żołnierze mówili po polsku.

Następowało odprężenie, a wieczorem można było ze spokojem położyć się spać.